

Jak zlikwidować szkołę?

Przez całe moje długie, trzydziestoosmioletnie życie towarzyszy mi nieustający jazgot na temat reformy szkolnej. Za mojej bytności na tym łez padole szkołę najpierw miano reformować na „sprawdzony wzór” sowiecki przekształcając podstawówki w dziesięciolatki. Do czego, dzięki Bogu, nie doszło. Skupiono się za to na przystosowywaniu programowym i ideologicznym, a szkoły zamieniono w produkcyjne „zawody” (ros. fabryki), które miały nie tyle wyposażać młodego człowieka w atrybuty potrzebne do świadomego życia, ile produkować przydatny dla państwa element systemu.

Odejście od ustroju komunistycznego i utworzenie swoistego rządu jedności narodowej z dotychczasowymi namiestnikami okupanta w 1989 roku, postawiło przed polską szkołą dużą szansę na zmiany, z której skorzystano jednak w sposób specyficzny, acz doskonale charakteryzujący przemiany dokonujące się w pozostałych sferach życia tworzących fundamenty pod projekt III RP. Oto w wypracowany w PRL-u model dydaktyczny włożono treści nie tyle podobne, co takie same, acz zmieniające o 180 stopni optykę geopolityczną. Propagandowy język i ciężar ideologiczny pozostał ten sam. Bardzo dobrze pamiętam głosy środowiska nauczycielskiego sprzed dwudziestu lat: przecież system mamy wypracowany, bardzo dobry; wyrzucmy stare treści i zamienimy je na nowe, a wszystko będzie dobrze. W ten sposób zamiast rzeczywistej reformy, jedną propagandę wyrzucono, by zamienić ją na inną. Wykonawcy pozostali ci sami.

Jak jednak wiadomo, wiele trzeba zmienić, żeby ukryć oczywiste fakty, iż tak naprawdę nie zmieniło się nic. Stąd pomysł permanentnej rewolucji w strukturze i systemie szkolnym. Powołanie absurdalnych z racjonalnego punktu widzenia gimnazjów, praktycznie likwidacja zasadniczych szkół zawodowych, zachłyśnięcie się hurra-optimistyczną wizją wyposażenia wszystkich w matury i wysłania na niepotrzebne im studia wyższe, gdzie zostaną zmanierowani i stracą bezpowrotną szansę znalezienia sobie dogodnej niszy do zagospodarowania dla własnego pożytku i pro publico bono. Do tego ostateczny upadek zawodu nauczyciela do roli urzędnika wykonującego polecenia ministerstwa oświaty i kuratorium oraz członka ZNP – branżowej, lewicowej korporacji skupiającej swój główny wysiłek na obronie przywilejów rodem ze stanu wojennego. Zarysowuje się fatalny system: szkoła obniża loty sukcesywnie w miarę postępów reformy, polityka promowania powszechnego studiowania pcha na uczelnie tabuny niedouczonego licealistów, co – oczywiście – szalenie obniża poziom szkół wyższych (mam niestety możliwość obserwować to osobiście od wewnątrz), szkoły wyższe produkują miernych nauczycieli. I tak dalej, i tak dalej.

Z tego poziomu, od zakreślenia istniejącej sytuacji, powinno się zacząć dyskusję o kolejnym projekcie modernizacyjnym polskiej szkoły. Tylko to bowiem prawidłowo umiejscawia i tą kolejną „reformę” w nurcie nigdy nie kończącej się, permanentnej rewolucji oświatowej. Już nie mityczni „uczeni radzieccy” i „sprawdzone wzorce radzieckie”, ale – równie mocno mitologizowane – „normy europejskie” i „autorytety” przywoływane są, jako uzasadnienie kolejnych projektów mających na celu wyrugowanie przekazywania autentycznej wiedzy na rzecz pseudopredmiotów szkolnego programu, których jedynym celem jest inżynieria społeczna. To rugowanie jasnego przekazu, czyli geografii, biologii, historii itd. na rzecz praktycznego kursu poruszania się w życiu społecznym, przywodzi mi na myśl okupacyjną szkołę w Generalnym Gubernatorstwie – nauka języka, rzemiosła, praktycznej wiedzy pomagającej żyć w skomplikowanym bizantyńskim ustroju niemieckiego

ordnunu. Słowem produkcja idealnych, posłusznych przeciętniaków, odbiorów tasiemcowych seriali i real TV, spijających poglądy z ust telewizyjnych spikerów i szpalt wysokonakładowej prasy w przekonaniu, że to wytwór ich własnych szarych komórek. Oto przykład samolikwidacji polskiej inteligencji i ostateczna jej zamiana w słynnych wykształciuchów.

Pierwszym pytaniem, na jakie odpowiedzieć sobie powinni decydenci w zakresie szkolnictwa, powinno być: co chcemy uzyskać. I nie dajmy się oczarować frazesami typu: „społeczeństwo obywatelskie”, „tolerancja”, „otwartość” i in. Pod tymi określeniami kryje się futurystyczny projekt ideologiczny – nic innego jak znana aż za dobrze zabobonna mitologia pokolenia `68 pragnącego odmienić ludzkość (teraz poprzez wcześniejsze wyrwanie dzieci spod wpływu rodzinnego domu, czyli obniżenie wieku szkolnego). Odpowiedź powinna brzmieć: człowieka świadomego, gotowego do podejmowania decyzji odnośnie własnej przyszłości i wyposażonego w instrumenty do realizacji swoich zamierzeń. Jeśli potrafi zrobić ze swoim życiem coś pożytecznego, będzie to największy zysk dla kraju, narodu, społeczności, w której żyje.

Klasyk pisał, że człowiek często znajduje recepty przezwyciężenia problemu w tym, co tak naprawdę powoduje kryzys (R. Dmowski, „Myśli nowoczesnego Polaka”). Przez lata dowcipkowaliśmy z wiedzy Amerykanów pytających czy Polska leży gdzieś koło Illinois, by następnie stworzyć system szkolny wzorowany na amerykańskim. Dziś planuje się reformowanie programu za pieniądze z UE i przy jej błogosławieństwie nie patrząc, co dzieje się w szkołach Zachodu. Problem polega na tym, że nie jest możliwa odpowiedź na pytanie, jakich Polaków życzymy sobie widzieć w przyszłości, bez zdefiniowania miejsca i roli Polski w Europie. Dopiero po zarysowaniu tej wizji można przystąpić do reformowania szkoły.

Można by przekornie powiedzieć o tej pseudoreformie, że im gorzej ze szkołą tym... lepiej, bo bliżej do jej całkowitego upadku, a tym samym i szansy na sanację ustroju szkolnego, np. obalenia monopolu państwa w edukacji. Ale nie w tym chyba rzecz, szkoda tych straconych pokoleń...